Rozmaitości

Dnia 3. Lipca — Ner. 27. — Roku 1841.

PRZYSIONEK DO SZCZĘŚLIWOŚCI.

Zagadką wieczną jest serce człowieka —
Daremnie rozum chce mieć panowanie,
Daremnie człowiek rozumem docieka,
Zkąd ma tę czułość, to słodkie kochanie,
Te chętki błogie, ten pociąg pierwiwy,
Te rany w sercu, któremi szczęśliwy!...

(Ciąg dalszy.)

Walija jest okolicą, która się za swojemi górami, w czasie niektórych ważnych zmian w świecie, zdrzymała. Tak pożycie jakoteż wszelkie inne stosunki są tam jeszcze patryjarchalne i staroświeckie, tylko rachunki dla podróżnych są r.. wocześne. Zamiast po kolejach żelaznych, podczas niepogody w niektórych miejscach, trzeba przeprawiać się po odnogach Rodanu; nigdzie nié masz bardziej skomplikowanych związków towarzyskich. Ale za to okolica ta została ochronioną od przekształtu, od wygórowanych potrzeb wieku. Zbytek nie skaził tu jeszcze pierwiastkowego stanu człowieka, lud jest jeszcze niewinny i przystępny, i nié ma jeszcze nudów za największe nieszczęście w świecie.

Gdy słońce schyli się po za góry *Sion*, przedstawia pod wieczór obraz malowny. Zorza wieczorna jest stósownem oświetleniem dla staroświeckiéj stolicy. Przybywające trzody piją wodę z dwóch studni na środku rynku, z pończochą w ręku i skopcem na każdém ramieniu, idą dziéwki na Alpy, kmoszki siedzą na ławkach przed domami, a na stopniach ratusza można ujrzéć młodą matkę, dającą białą pierś niemowlęciu. Wtém nadchodzą fletyści miejscy i przygrywają staroście pieśń wieczorną. Z radością zgromadzają się w około nich mieszkańcy i towarzyszą im przed domy innych dygnitarzy Kantonu.

Taką była scena, która w następnych dniach zajmowała uwagę naszę. Podobnież i nasze towarzystwo, do którego Fitz-Finland i dwóch jego towarzyszy się przyłączyło, zrzuciło z siebie maski i świecidła wielkiego świata, i żyło zbawienną dyjetą natury. Nieużyteczny styl książkowy, zastępowała prosta, otwarta mowa i zbawienne milczenie. Z tém wszystkiém, takie w rozmowie przestanki, nie były ani nieznośne ani nudzące, każdy szedł za popędem swoich uczuć i myśli, poczém o nowym przedmiocie wszczął rozmowę i niejeden piękny skutek wywiódł na jawę. Nie przypatrywaliśmy się naturze przez salonowe škiełko, aleśmy ją brali pośród jéj potężnéj piękności. Wtedyto nasuwały się duszy wielkie, ważne myśli i powstawały w sercu szlachetne uczucia; tu ujrzałem powtórnie stwierdzone to zdanie: że ludzie są lepszymi, a niżeli się być zdają.

Łucyja zostawała zawsze w zakresie swojéj wolnéj naturalności; miała ona najmniéj ze wszystkich do złożenia z siebie zewnętrznych ozdób i światowych zwyczajów. Przez owo pierwsze spotkanie się z lordem na skalistém wzgórzu doliny Rodanu, widziała się przypadkiem zbliżoną ku niemu. Piękna szczérota Łucyi, jéj jasne pomysły, zdrowy rozsądek i męzkie uczucia, zachwyciły lorda, jéj wprawa, zwinność i śmiałość we wszystkich ćwiczeniach ciała, znalazła spółuczucie w jego dzikiéj dzielności i nieustraszonéj odwadze. Lord i Łucyja wyprze-

dzali ciągle cały orszak jadący, byli piérwsi na górach, na niebezpiecznych miejscach częstokroć sami jedni.

Udaliśmy się do Bad-Leuk, i przeprawiali się przez Gemmi, którego ściany, w wysokich, rzniętych tarasach, w głąb doliny spadają. Wypadło nam spuszczać się po drabinach, wszyscyśmy dostali zawrotu głowy prócz lorda i Łucyi.

W powrocie napadła nas burza, śród któréj ciężka oberwala się chmura; w oberzy leżącéj na wzgórzu znaleźliśmy schronienie. Spaniały przelot błyskawic po ciemném tle nieba, wzniosło rozdający się łoskot grzmotu po galeryjach górzystych, bawiły nas z początku. Lecz niebawem zniknęła radość nasza; przez cieńszą dżdżu przesłonę ujrzeliśmy, jak ze wszystkich gór zaczęły bystre z szumem zléwać się potoki i jak Rodan u podnóża gór mętne czerwono-szare gonił fale. Dészcz ustał, zorza wieczorna oświetliła część doliny, tęcza zarzuciła łuk nad Alpami. Wyszliśmy z chaty i z przestrachem patrzyliśmy na tak szybkie spustoszenie doliny. Spuściliśmy się niżéj i zatrzymali na bezpiecznem wystaniu skały. Zewsząd toczyły się wrzące wody, jak gdyby się śluzy niebios otworzyły; koryto Rodanu już tylko po większym prądzie poznać było można, woda zalala całą dolinę. Aż pod piętra i dachy głębiéj położonych domów rozigrała się powódź, i niosła na mętnéj powierzchni swojéj dachy, nieżywe bydło i sprzęty. Na kilka sążni pod skałę, na któréjśmy stali, wzdęła się woda; widzieliśmy w dolinie ludzi załamujących ręce. Nie mając czółna, nie mogliśmy pospieszyć w pomoc nieszczęśliwym. Osłupiałym wzrokiem patrzyliśmy w otwarte morze; Emeryk wrócił do chaty namówić ludzi, aby mu czémprędzéj zbili tratew dla dania pomocy nieszczęśliwym.

Łucyi twarz zatlała ogniem z żałosnego udziału; byłto dla niéj piérwszy widok okropnéj sceny, któréj świadkiem była. Właśnie Emeryk wracał z ludźmi, gdy oto Łucyja nagle, z wykrzykiem wszystkich, skoczyła w wodę! Zaczęła silnie pruć wzdęte bałwany, i nie trwało chwili, już schwyciła dziécię, które w kolebce woda niosła. Nikt z nas nie postrzegł piérwéj tego dziécięcia. Emeryk ujrzawszy co się stało, rzucił się piorunem w odmęty, lecz już bezpiecznie i zwycięzko płynęła Łucyja ze zdobyczą; zaledwie żeśmy się o nią zatrwożyli, już była przy brzegu. Emeryk przebił się do niéj jeszcze w wodzie, ojciec podał jéj rękę, wyszła. Przycisnął ją z radośnemi łzami do swego ojcowskiego serca; z uśmiechem trzymała Łucyja płaczące dziécię na ramieniu; ognisto wlepił Emeryk w jéj twarz swe oczy. Wszyscy obecni stali w zadziwieniu.

* * *

Powróciliśmy znowu do Chamouny. Żywy, twardy duch młodego Szkota nadał naszemu towarzystwu świéżéj sprężystości. Szczęśliwy jego pogląd uzyskiwał w przedmiotach nowe zalety, rycerska jego śmiałość nadała wszystkim większéj żywości. Upodobał sobie Chamouny nadzwyczajnie; odległość doliny téj od gmatwy świata, pokrycie w niéj wszelkich dźwigni cywilizacyi, miały dla niego dźwięk zachwycający; nie czytał gazet, nie chciał słyszéć co się dzieje na targowisku świata. Chamouny zdawała się mu niepodzielnie i bezwzględnie być oddaną pod panowanie miłośników natury. Zwidzaliśmy znowu jéj piękne ustępy i znaleźli jak pięknémi, jak piérwszą razą. Emeryk był czuły na wdzięki natury; miał on w ogólności wyborne przymioty; w obcowaniu jego ta jedna tylko raziła przeszkoda, iż dostrzédz można było, że w sobie kryje ustroń, którą tylko sam dla siebie zachował, ustroń, do któréj się jeszcze niczyje zaufanie nie przecisnęło. Nikomu wprawdzie na myśl przyjść nie mogło, aby w niéj ukrywał coś nieszlachetnego lub niechwalebnego, gdyż nic niegodnego w Emeryku nie było do upatrzenia, a przecież tajemnica ta działała na mnie odtrącająco. Czułem, że Emeryk nigdy się całkiem nikomu nie oddawał, jeden punkt w sobie przechowywał li tylko dla siebie. Z tad zdawał się wynikać ów obłoczek oziębłości na jego miękkich ustach, i w około jego jasnych oczu, który nawet w chwilach rozczulenia nie znikał, i stawał się demonicznym wyrazem pięknéj jego twarzy.

Od czasu jak Łucyja wybawiła dziécię, zaczął Emeryk jawniéj składać jéj swoje

hołdy; jéj świetne przymioty nietylko że były dla niego podziwem, ale nawet tkliwego uszanowania przedmiotem. Nie uszło dam baczności to uwzględnienie, lady Hortenzyja zdawała się być tém cokolwiek zadraśnięta. Ale raz tylko odważyła się wymierzyć lekką przycinku strzałkę, której Łucyja nie zdawała się zważać, a na co lord odpowiedział dumną obojętnością.

* * *

Nakoniec sprzykrzyła się ciągła wałęsa po górach i ruinach natury, zaczęto wyszukiwać do zabawy towarzyskie talenta. Czytano, rysowano, muzyka również zapełniała niektóre chwile. Szczególniéj Emeryk był téj ostatniéj wielkim miłośnikiem. Łucyja kazała sprowadzić z Genewy swoje fortepiano i harmonikę; była mistrzynią na tych obu instrumentach, umiała przenikające szklanne zdroje tonów w zachwytny skutek jednoczyć z dźwiękiem fortepianu. Lecz piękniejszym nad wszystko był jéj głos melodyjny, ta gorąca mowa jéj pięknego serca, uniesienie jéj natchnienia.

Byłoto w chwilę spadającego zmroku, sala stała w oświetleniu wieczornéj zorzy, Montblanc tlał nad doliną. Łucyja usiadła do fortepianu i zaczęła śpiéwać. Anioł harmonii płynął lekkiém skrzydłem z strón instrumentu; dziś śpiéwala piękniéj niż kiedykolwiek, przyłączne tony harmoniki, przejmowały skróś serca i ziały przez nerwy. Głos jéj był pełen tkliwego rozczulenia, Emeryk oparty o okno, poglądał ze wzruszeniem na śpiéwaczkę; jak przed arfą Dawida znikała posępność z jego twarzy. Spiéwała piosnkę alpejską:

»Czy mię kochasz, powiédz szczérze?«
Mogę sprzyjać, kochać — nie!
Kogo kocham, temu wierzę,
Ten na Alpach znajdzie mnie.

Tu lodowiec, nad nim niebo,
Wązka ścieżka wiedzie tam,
Miłość sercu jest potrzebą,
Gdzież ja szczéréj szukać mam?...

Dobrze mówisz lube dziecię,
Czas najtrwalsze związki rwie!
Zostań, gdzieś twe wzięła życie,
Bądź szczęśliwa, żegnam cię!

Spiéwaczka rozpłakawszy się umilkła.

Drżącą ręką ujął mnie ojciec za ramię i rzekł: »Gwiazda wypłynęła z obłoku i rozpromieniła się! Nadeszła chwila elizejska, ona kocha! — Ach, oby szczęśliwą była!«

* * *

Jeden z handlujących minerałami w Chamouny, przyszedł do nas i przedstawił nam swój towar na sprzedaż, Hortenzyja kupiła serduszko z achatu i darowała je Emerykowi. Ten przyjąwszy podarek, zaczął zeń iskry krzesać.

»Jako? takżeto obchodzisz się z biédném serduszkiem?« rzekła lady dąsając się, »tłuczesz je żelazem, okrutny?«

»Wszakże tylko tym sposobem wywołam boską iskrę, ktora w niem drzymie.«

To rzekłszy, zaczął krzesać daléj, aż achat w kawałki się rozleciał.

»Widzisz, serce pękło.«

»Lepsza, że pęknie, niż żeby wiecznie martwém i nieożywioném zostało.«

»Obraz ten da się na twoję korzyść zastósować, ale jakże obronisz szybkie zgaśnięcie czucia, téjto boskiéj iskry.«

»Byłobyto zbawiennie, gdyby wiecznie trwała, ale uczucie jest w nas zjawą mimowolną, przychodzi i znika, tylko za czyn odpowiedzialni jesteśmy.«

»Wiara twoja tchnie czystém pogaństwem.«

»Bynajmniéj; ja wierzę w bozkość czucia; ale jak czucie z nieba pochodzi, tak znowu do niego wraca, tam je znowu znajdziemy. Tu nam nie pozostaje błyskawica, tylko jéj skutek, złota nitka, którą w surowém wnętrzu naszego ducha, na czysto stopiła.«

»A jakżebyś wtedy powiedział Emeryku, gdybyś kochał? zniszczałożby uczucie twoje?«

»Tego nie wiém, ale gdyby zniszczało, nie mógłbym go wstrzymać. Tylko czyn do mnie należy, i cobym przyrzekł, tegobym dotrzymał.« To rzekłszy, zjawił się obłok na czole jego. Rozmowa przyszła do wytężonego punktu, przerwał ją z pośpiechem gdy Łucyja nadeszła. Wezwała towarzystwo do konnéj przejazdki po zachodniéj części doliny; nie jest ona wprawdzie bardzo powabną, jednakże drogi po niéj są równiejsze i lepsze, można je nawet w powozach odbywać. Brzozowe gaje i zarosla dzikich

róż, idą tu na przemiany, ze skał granitowych spadają z szumem wody. Za témi po prawéj ręce wznosi się piękne wzgórze aż do samego szczytu uprawne, po lewéj ręce toczą się łąki i dają się widzieć porozrzucane chaty. Orszaki dzieci biegną i nadstawiają gościom kryształy i róże alpejskie w upominki.

Koń Łucyi szedł w zawody z koniem Emeryka; jakby śmiałością swoich jeźdców rozochocone, obadwa gnały po nierównym, kamiennym gruncie, sadziły przez płoty i skał złomy.

Sadząc przez jednę zaporę, co Łucyi szczególniéj się powiodło, omal że Fitz-Finland z konia nie spadł. Zmartwił się tém, i uraził cokolwiek, że Łucyja z tego przypadku obawę swoję okazała. Przed nami rozwijała się długa, równa przestrzeń drogi, która się na szérokiéj, płytkiéj skale kończyła. Lord zaproponował wyścig konny, Łucyja przyjęła. Jeźdce popuścili wodze, konie pognały i rozpiérając się coraz bardziéj aż brzuchem sięgały ziemi. W około nich świszczało powietrze, z pod kopyt pryskał zwir i drobny krzemień, lecz nie widać było, aby które z nich przemagało. Nareszcie powiodło się Łucyi, koń jéj wyprzedził; dziko przemknęła po przed Emeryka. Miała odnieść zwycięztwo; Finland zczerwienił się, w oko jego wstąpił żar groźny. Silnie ubodł konia, schylił się aż nad kark jego. Koń prysnął nozdrzami, rozparł się z wszystkiéj mocy i lecąc z olbrzymią szybkością, ciskał ziemię za siebie. Emeryk wyprzedził Łucyję, jak błyskawica stanął u mety, a dawszy koniowi jeszcze raz krwawą ostrogę, wsadził go na płytę skały, strzemion nie straciwszy. Łucyja o chwilę przybyła późniéj. Spojrzał na nią z niejaką dumą, i wraz skoczył w dół tarasu, zsiadł z konia i potrzymał damie strzemiona. Łucyi twarz ogniem pałała, ale gdy z konia zsiadła, Emeryk uniesiony rozkoszą zwycięztwa, wziął ją w swe ramiona i wycisnął całunek na jéj ustach.

Ten słodki grot był nad siły Łucyi, przed chwilą jeszcze śmiała amazonka, teraz już zwyciężona i drżąca jak dziécię, przytuliła się do piersi jego. Emeryk raz jeszcze spojrzał z dumą na swoję zdobycz, lecz jego wzrok ognisty zamienił się w pieściwą tkliwość; uniósł na kilka kroków Łucyję, posadził ją na murawie i ukląkł przed nią.

»A przecież Łucyjo, tyś odniosła zwycięztwo!«

Zdziwione i strwożone przybyło towarzystwo, twarz Yburga pokryła bladość.

»Daj mi wpan Łucyję za małżonkę«, rzekł do niego Emeryk, klęcząc przed pochyloną.

* * *

Rozwiązanie téj sceny jakkolwiek spieszne i niespodziane, było jednak w owéj chwili najprzyzwoitsze.

Łucyja drżąc na całém ciele prawie bez zmysłów, pochyliła się w ramiona Emeryka.

Yburg zebrał się w odpowiedź i oświadczył szacunek swój ku zacnemu lordowi, równie jak i radość swoję z powodu jego oświadczenia; jednakże aby stanowczo odpowiedziéć, założył wprzód dostateczne zbadanie serca swéj córki, jak i zgłębienie samegoż lorda Finland szczérości przywiązania.

Odpowiedź ta, jak na tę chwilę, była dostateczna.

Yburg przekonał się o przywiązaniu córki swojéj do Finlanda; w drugiéj rozmowie przyrzekł mu ją wyraźnie, jednakże, aby trwałości wzajemnego ich przywiązania doświadczył i na przemijającém uniesieniu serca, szczęścia swéj córki nie budował, postanowił zaślubienie ich na rok cały odłożyć. Lord nalegał na śpieszne połączenie, zwłaszcza, iż jako pułkownik w wojsku angielskiém, nie był panem swego czasu. Jasna i szczéra twarz Łucyi, jéj nieśmiały i w ziemię spuszczony wzrok, zdawały się niemniéj za prawdą i trwałością jéj miłości przemawiać; ale Yburg nie dał się od swego postanowienia odwieść, które już na ten przypadek dawno był powziął, a które jako skutek z jego najtkliwszej staranności i dojrzałéj rozwagi wynikało.

»Teraz kochamy się«, rzekł Emeryk, »a miłość nasza jest jeszcze od wszelkiéj przymieszki ziemskiéj czysta — teraz, ojcze, pozwól nam zawrzéć związek na wieki. Pocóż ta odwłoka? Do tychczas nie postała w sercu naszém ani żadna wątpliwość, ani obawa; płomień miłości naszéj nie rzuca jeszcze żadnego cienia, pozwólże niech pod

kresem tego zwrotnika rzucimy się sobie wramiona. Nawet tęsknota zasępia jéj światło, rozrywka osłabia, niebezpieczeństwo zatruwa. Teraz kochamy się z pewnością, na cóż ta próba? Złącz nas i dozwól niech spólnie pokuszeniu się opiéramy.«

»Dla oblubieńca przystoi ze wszech miar ten pośpiéch, ale dla ojca przynależy rozwaga. Czas miłość waszę umocni, próba oczyści.«

»A gdyby téż miłość w twéj córce albo we mnie w czasie rozdziału osłabła, lub zgasła, miłość, którą zjednoczeni, bylibyśmy jak ogień święty utrzymywali: będziesz które z nas przez to szczęśliwe — opuszczony, z iskrą niebiańską trawiącą w sercu, albo przeniewierca, z iskrą zagasłą?!«

»Gdyby zagasła?! O, w sercu mojéj córki nigdy ona nie zgaśnie! maszże lordzie miłość swą za tak niestateczną, iż sam o sobie powątpiéwasz?«

»Jeżeliś pewnym ojcze, pocóż ta próba? A jeżeli niepewnym, na cóż to niebezpieczeństwo? Rozważ skutki.«

»Emeryku! czas wiele czyni. Mógłbyś moję córkę opuścić?«

»Bóg moim świadkiem, przenigdy!«

»O nie zaklinaj się Emeryku! Jeżeliś mniéj do mnie przywiązany, nie chcę być twoją żoną. A jeżeliby kiedy to nastąpić miało, powiédz, niech sama nad mym losem boleję.«

To rzekłszy Łucyja rozpłakała się, Emeryk rzucił się przed nią na kolana i przytulił jéj ręce do swéj twarzy. Łucyja skłoniła ku niemu swoję głowę jak lilija, którą ranna rosa obciąża.

Niepokojący obłok zniknął z twarzy Emeryka, a wiara i ufność wstąpiła.

Lord Finland nie przestawał nalégać na śpieszne zaślubienie, a to tém bardziéj, ileże niespodzianie przyszedł mu rozkaz, aby na czele swego pułku jak najprędzéj do Gwinei odjeżdżał. Atoli ojciec trwał w swojém postanowieniu, a chwila rozdziału nadeszła. Wszyscy mieliśmy szczéry udział w żalu dwojga kochanków, a sielskie, swobodne usposobienie towarzystwa, uległo cichéj żałości. Finland przeniknіony był do żywego tym rozstankiem; w każdém słowie, w każdém wzruszeniu Łucyi, rozlana była tkliwa żałość piérwszéj miłości.

Po dolinie Chamouny zaszumiał piérwszy powion jesiennych wiatrów, mocniej żarzyły się skały z granitu, w lodowcach odbijał się purpurowy promień zorzy wieczornéj. Tu i ówdzie pożółkło liście, a cudzoziemcy opuścili dolinę.

Odbyliśmy jeszcze kilka wycieczek. Łucyja życzyła sobie jeszcze raz zwidzić *Lac de chède*. Leży ono prawie na końcu doliny Chamouny, gdzie z jeziorem Salanche się łączy. Droga prowadzi przez malowny wąwoz skalisty. Dolina wije się romantycznie, na lewym brzegu Arwy, stérczą gruzy zamku *Saint Michel*. Wysiedliśmy z powozu, i zaczęli wdziérać się na skałę *Cascade de chède*, któréj széroki promień na ostrym progu prostopadle się łamie. Upatrzyliśmy dogodne stanowisko; strumień lecąc w dół, rozpierzchał się w najdrobniejsze pyłki, i budował oku łuki w troistéj tęczy zachodzącego słońca. Widok ten był niewymownie piękny, z tém wszystkiém kochankowie nasi byli nazbyt sobą zajęci, aby się nim ubawić mogli, a my podobnież w podziwianiu natury, byliśmy przez nich roztargnieni.

Zeszliśmy na dół, gdzie jest małe, powabne *Lac de chède*. Położenie tego jeziora u podnóża góry, między starémi dębami i rozłożystémi orzechami, jest nader romantyczne. Z tamtąd przedstawia się jeden z najpiękniejszych widoków góry Montblanc. Biały, śnieżny szczyt jego wznosił się w jasném przezroczystém powietrzu; obraz ten odbijał się w czarno-błękitném źwierciedle jeziora. Słońce zapadało coraz głębiéj, Montblanc żarzył się, a na ciemnéj przestrzeni jeziora drżał odblask różany. Chwila ta sprawiała zajmujące wrażenie.

»O, nie jestże tu miejsce pokoju«, wszczęła Łucyja, »i czyliż samolubne, niepokojące utęsknienie za szczęściem, nie zamienia się tu w drzymiące, ciche uczucie ogólnego bytu wszeświecia! Któżby na widok tego wielkiego obrazu mógł się mieć za zupełnie nieszczęśliwego, i patrząc na krótkotrwałą samoistność swego serca, zapomniał o wieczności wszechnoty? Tu, Emeryku! tu donieś mi w czasie, że twoja miłość zagasła, a ja zniosę tę wiadomość — i będę żyła! Ale jakże słodkim byłby wtedy pokój pod murawą tych brzegów, jak miłym

byłby ten przy poszepcie tych ruchliwych fali.«

»Łucyjo, spłosz to marzenie!«

»Słusznie mówiłeś Emeryku, że nic nam za trwałość najgłębszych uczuć naszych nie zaręcza. My przestalibyśmy być ludźmi, gdyby święta miłość nasza już na tym świecie zabezpieczoną była; ona znika, podobnie jak ten odblask zorzy wieczornej; nawet się szlachetna boleść nasza nie ostoi! Wszystko na téj ziemi przeminąć musi, a czego niestałość serca nie zagładzi, to starość zniszczy.«

»Biada, biada Łucyjo, jeżeli prawdę mówisz!«

»Tu przemija wszystko, co piękne, jak przemija wdzięk kwiatu; tylko tam w świecie wiecznym trwa nieprzerwanie. Któż o tym świecie wątpi, kto się użala na milczącą odległość jego? Spojrzyjcie w górę, strumienie powietrza tracą swą przeźroczystość, niebios obłoki nabierają gęstości, głęboko pod niémi stérczy świat doczesny, jak piramida lodu; ale tam w górze rozkwita światłość, z ciemnego tła wypływają gwiazdy. O, witaj nam chwilo gwiazd! Któż powié, że wieczność jest niema? Czyliż gwiazdy nie są telegrafami z tamtego świata.«

To mówiąc wpatrzyła się w strop błękitu, jakby w nim głoski przeznaczenia w sens złożyć się starała; Emeryk wziął jéj obie ręce, i zatopił swój wzrok w jéj twarz uniebioną.

»Wtém oświetleniu niech mi twój obraz towarzyszy, ta chwila niech będzie ostatnią przed naszém rozłączeniem.« — »Ostatnią?« zapytała Łucyja a zimny dreszcz na skróś ją przejął, jednakże twarz jéj nie dała poznać, co czuła. — »Bądź zdrowa Łucyjo, bądź zdrowa, żegnam cię! Zobaczymy się w Chamouny! Ja kocham ciebie! Słyszysz, kocham! Miłość ta, granic nié ma, a gdzieby je miała, tamby się zaczynał świat obłędu, świat ziemski!«

To rzekłszy, ucałował ją, dosiadł konia i pognał gościńcem ku Genewie. Jasném okiem patrzyła za nim Łucyja. Smutni i żalem przeniknieni pozostaliśmy w zmroku u brzegu ciemnego jeziora.

(Dokończenie nastąpi.)

ALEKSANDER FREDRO
PRA-PRAWNUK
ELŻBIÉTY DRUŻBACKIÉJ,
POETYSY POLSKIÉJ.

(Nadesłane).

Duch wieszczy, co się w twém łonie ukrywał,
W późnym potomku, głośno się odzywał:
I czasu wiele nie stracił,
A scenę polską zbogacił.

W »Rozmaitościach« dołączonych do Nr. 68. »Gazety Lwowskiéj« w artykule St. Jaszowskiego pod tytułem: »*Dwa dni z życia Elżbiéty Drużbackiéj*«, gdzie na stronicy 190 ciotka mówi do siostrzenicy czyli raczéj do bratanki: »No, no! dobrze już dobrze dzieweczko: wiém, żebyś rada mnie ucieszyć, bo też ja mam do pociechy tylko ciebie na tym świecie. Bóg nie pobłogosławił mnie własnémi dziećmi, i t. d.« niejeden czytelnik mógłby z tych wyrazów wnosić, że Elżbieta Drużbacka nie miała żadnego potomstwa: lecz rzecz ma się inaczéj, o czém przekonać się można. Najprzód ze samych wierszy téj poetysy, gdyż w rękopiśmie darowaném przez JX. Horburta biblijotece Uniwersytetu wileńskiego, napisała Memoryjał wnukowi swemu, który, gdy za piękną naukę każdemu młodzieńcowi służyć może, w całości go tu przytaczam:

Memoryjał wnukowi mojemu
P. Józefowi Wiesiołowskiemu.

Wnuku kochany, nadziejo rodziców,
Co z pod wnętrzności na twoje ćwiczenie
Koszt zdobywają — jużeś wyszedł z fryców,
Wiesz co jest honor, znasz co dobre mienie. —
Piastujże dobrze te dwa minerały,
Któreć się z fortun ojczystych dostały. —
Rok siedemnasty zaczniesz w listopadzie,
Niech ci Bóg tyle błogosławieństw nada,
Ile z drzew liścia jesień w lasach składa,
Ile na ziemię dżdżystych kropel spada; —
Da ci to wszystko pan, co światem władnie,
Gdy niewinności liść z ciebie nie spadnie. —
Przytomność Boga miéj w każdej swéj sprawie,
Bo ten przenika wszelki sekret okiem.
Strzeż się co może szkodzić twojéj sławie,
Ciału nie sprzyjaj zbytecznym obrokiem,
Duszy posiłek raczéj częsty dawaj,
Czystym, pokornym, przed swym stwórcą stawaj.
Znasz prawo boskie, policz je w dziesiątek,
Przetrząśnij każde, czyń zadość rozkazom;
Wszak nie jest trudny koniec i początek
Do wypełnienia rozumnym obrazom,
Które wszechmocna ręka malowała,
Jak dzieciom pensa snadno napisała.
Często poglądaj w tę zadaną kartę,
Częściéj usiłuj w niczém nie wykroczyć,
Miéj baczność skoro natrafisz na czwarte,
Tam cię strach zacznie w mocne łyka troczyć,
Gdy ujrzysz jak Bóg, rodziców uczczenie
Nakazał, kto chce mieć pewne zbawienie.
Nadto przydaje łask swych obietnice
Wiek długo-letni. — Pamiętajże synu!
Byś ojca, matki płaczące źrzenice
Nigdy nie widział, dla twych niecnót czynu;
Bo jak rdza trawi stal, żelazo twarde,
Tak ich przekleństwo niszczy dzieci harde.
Unikaj rozmów z podłemi osoby,
Dopieroż od tych co złe życie wiodą,

Jedni cię złupią z zacności ozdoby,
Drudzy zarażą nieprzystojną modą,
Słów nieuczciwych i gorszących uszy
Nauczą, które zabójstwem są duszy. —
Rzetelność kochaj, brzydź się kłamstwem szpetném,
Co obiecujesz, ziść skutkiem każdemu,
Żebyś nie słynął kłamcą w wieku setnym;
Sławy najdroższej nie ujmuj bliźniemu,
Pycha niech twojej głowy nie zamąca,
Bo takich na łeb mizeryja strąca. —
Fortunę szanuj, jeżlić ją Bóg zdarzy,
Miarkuj potrzeby, żebyś nad dochody
Nie szumiał, potém wychudły na twarzy
Po dobrem winie nie trafił do wody. —
Cóż z tąd, kiedy cię obstąpią dłużnicy,
Zdejmą rząd z ściany, gdy pustki w piwnicy. —
Trzeźwość niech w tobie dziedzictwo założy,
Która jest stróżem cnotliwych młodzianów,
Rozpusty broni, skromność piękną mnoży;
Brzydkie pijaństwo, zgubą wszelkich stanów,
Rozum zabija, skarb przymiotów rani,
Zbiór przodków, w gardła uwięzi otchłani.
Szczérość chwalebną miej dla przyjaciela,
Sekret zwierzony zamykaj pieczęcią;
Niech cię burzliwy impet nie rozdziela
Z tym, któryć sprzyja życzliwości chęcią.
Przybierz charakter uczciwego człeka,
Niech z ust twych słowo gwałtem nie ucieka.
Zemsty nie szukaj nad tym co zawinił,
Ani się nie ciesz z nieszczęścia czyjego,
Ażebyś smutnym, smutku nie przyczynił
Przez urąganie upadku bliźniego. —
Ubogim nie gardź, sługom płać zasługi,
Poddanych nie krzywdź, nie wchodź w żadne długi.
Nakoniec przydam — żyj ojca przykładem,
Będziesz tak jak on zwan poczciwą duszą,
Miłym u wszystkich rzetelności składem,
Mądrym, sumiennym — cnót jego nie wzruszą
Fortun odmiany, w zdrowiu czy w chorobie,
W szkodach cierpliwym, jak szczęśliwym w tobie.
Masz też i z matki piękne wybrać wzorki:
Dobroć rozumną, statek przy urodzie,
W mowię nie szpeci rzymskie oratorki,
Z twym ojcem umie żyć w miłości, w zgodzie;
Ciebie, twe siostry, z duszy, z serca kocha,
Jak dobra matka, nie jak zła macocha;
Nie bądźże proszę Józefie odrodkiem
Godnych rodziców, nie daleko padaj
Od téj jabłoni, chodź gościńca środkiem,
Manowce mijaj, namiętnością władaj —
Żebyś zdrożywszy, nie wpadł w żadne łapki,
Przyjmij przestrogę z miłości od babki.

Powtóre, ze starych dokumentów wiadomo mi jest, że Elżbieta z Kowalskich Drużbacka miała córkę Maryjannę za Wiesiołowskim, łowczym wieluńskim, z któréj był jeden syn Józef i trzy córki Kunegunda, Krystyna i Anna, z tych jedna co poszła za Dembińskiego, była rodzoną babką w linii żeńskiej Aleksandra Fredra. — Policzywszy więc rody, pokazuje się, że Elżbieta Drużbacka w prostéj linii (żeńskiéj czyli jak zowią po kądzieli), jest pra-prababką Aleks. Fredra, z tylu pism znanego nam współczesnego autora, chociaż osobiście nié mam honoru go znać —

Lecz na to piszę, abyście wiedzieli,
Jak talent idzie do miecza z kądzieli,
I kto w stare akta krajowe zaziera,
Uzna ten rodowód po skiego Moljera. —

Pisałem dnia 13. czerwca 1841 r. X...o.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochanskiego, wyszedł Nr. 26. i obejmuje: 1) Zasady służące do ułożenia systematu polowego. (Ciąg dalszy.) 2) O chodowaniu jedwabników. (Dokończenie.) 3) Doswiadczenie domowe, względem tańszego żywienia koni. 4) Korespondencyja.

Ner. 13. *Dziennika mód paryskich*, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, zawiera prócz mód, następujące artykuły: 1) Ożenienie się moje. 2) Wiérsz: Czem są marzenia? 3) Nieco o Francyi. 4) Myśli.

Z Warszawy. Tom trzeci *Pamiętnika sceny warszawskiej* w tych dniach właśnie prasę opuszcza. Przyozdobiony będzie wykonanemi przez Bonawenturę Dąbrowskiego wizerunkami słynnych dziś tancerek, artystów opery i artystów dramatycznych sceny tutejszej, a na czele ma być umieszczony portret tyle muzyce i operze narodowéj zasłużonego kapelmistrza Karola Kurpinskiego.

Profesor Adryjan Krzyżanowski pracuje nad dziełem: *O kawalerach maltańskich w Polsce.*

Z Poznania. Drukować się tu będzie nakładem br. Edwarda Raczyńskiego, dzieło prof. Trentowskiego o wychowaniu, pod tytułem: *Chowanna.*

W Niemczech coraz bardziéj zmniejsza się liczba uczących. W roku 1838 i 1839 było w uniwersytetach niemieckich około 11,000 uczniów, podczas gdy dawniéj w roku 1830 jeszcze 14000 osób było. Ilość teologów zmniejszyła się o 41, prawników o 20, filozofów o 14 od sta; tylko uczniów sztuki lékarskiej jest jeszcze podostatkiem. Szczupła, a przy wymagających się potrzebach niewystarczająca pensyja, większe wymaganie przy egzaminach, przydługi czas służby bez pensyi, zwrócony duch czasu do materyjalizmu i niektóre inne przyczyny są tego skutkiem.

Rzecz godna naśladowania. W Karlsruhe w Niemczech zawiązało się towarzystwo, w celu rozpoznawania dobrych gatunków piwa, i ustanowiło wydział, który od czasu do czasu się zgromadza i piwo, które za najlepsze uzna, do publicznéj wiadomości podaje, przezco takie piwo znaczny odbyt miéwa. Piwowarowie, szynkarze, tudzież osoby mające udział, podawali już kilkakrotnie do zwierzchności o rozwiązanie nadmienionego towarzystwa, atoli słuszność przemogła.

George Sand. (Margrabina Aurura Dudevant), jak J. Mendelsohn z Paryża donosi, jest małego wzrostu. Ma skłonność do dobrej tuszy, jest prędka, prawie popędliwa we wszystkich swoich poruszeniach, tak, iż przedmiot raczéj chwyta niż bierze. Rękę i nogę ma nadzwyczaj małą i bardzo pięknie utoczoną. Podłużna, blada jéj twarz, oznacza jakąś jenijalność, ale na niéj nie ma ani śladu dawnéj piękności; tylko oko błyska nadzwyczajnym ogniem, jest przytém duże, ciekawe, lecz z pewnym rodzajem niespokojnej dumy ustawicznie w ruchu. Po obu bokach skroni mocno pojawiające się zmarszczki są znakiem natężonego myślenia, fizycznego osłabienia. Nié ma ona nigdy zupełnie odsłoniętego czoła, zdaje się, jak gdyby żarzące się w niem myśli, w przyjazne więzy ująć chciała; w ogóle lubi się zdobić perłami, złotem i kwiatami, — pod tym względem jest zupełnie niewiastą. Bujny promień czarnych jéj włosów spływa zwykle na długą, białą suknię. Zresztą jest bardzo grzeczna, ma żywy udział we wszystkich prawdziwie wielkich wypadkach czasu, i to chętne uznanie zalet wszystkich znakomitych mężów, ochroniło ją dotychczas od nienawiści stronnictw szkołami zwanych. Przy wielkiém swojém imieniu umié ona zachować się przyzwoicie i skromnie.

Początek nazwy lew i lwica. Wiadomo, że w Paryżu od niejakiego czasu piérwsze elegantki *lionnes* (lwice), a pierwsi eleganci, modnisie *lions* (lwy) się zowią. Z kądże pochodzi ten nadzwyczajny zaszczyt? Tallemand des Réaux powiada o pannie Paulet: zapał, z jakim ta dziéwica kochała, jéj odwaga, duma, ogniste oko i złoto-żółte włosy, zjednały jéj przydomek lwicy. W roku 1633 napisał Chapelain *Powieść o lwicy*, która to powieść powszechną zwróciła na siebie uwagę i tak się podobała, że autora jéj w wiérszach lwem nazwano. Odtąd weszło w modę wszystko, co jest piękne, powahne, nadzwyczajne, lwem i lwicą nazywać.

Podanie machometańskie. Machometanie czczą święty kamień, nazwiskiem *agiar alaznad*, mający kształt kostki sześciennéj. Mają oni ten kamień w wielkiém poszanowaniu i zowią go rajską perłą, która niegdyś blaskiem swoim całą okolicę Meki oświetlała; ale grzéchy ludzkie pozbawiły ją tego blasku, przezco teraz zczerniała. Podania ich o miejscu, w którém ten święty talizman leży, są dziwne. Podług ich wiary, Adam i Ewa, po dopuszczeniu się grzéchu, rozłączeni zostali. Adam zaprowadzony przez ducha bożego do Arabii, zaszedł aż do Meki. Za krokiem jego szły wszędzie obfitość i błogosławieństwo. Postać jego była czarująca, wzrost smukły, kolor brunatny, włos gęsty, długi i kędzierzawy, i miał podówczas wąsy i brodę. Będąc tak przez lat sto rozłączony, zeszedł się znowu z Ewą na górze Arafajt niedaleko Meki, od któregoto wypadku góra ta nazwę swą otrzymała, co właściwie: »*Miejsce przypomnienia*« oznacza. (*Masonic Quarterly Review.*)

Przemytnicy są nadzwyczaj przebiegli w wynajdywaniu środków, celem oszukania urzędników pogranicznych. Wydrążone odziemki drzew, próżne we środku wiązki drzew i węgle kamienne albo podwójne w wozach dna są już zużywane, nawet z psami przemycanie już się nie wiedzie, a wszystkie drogi poboczne są strażnikami osadzone. Teraz przemytnicy wpadli na myśl używania powietrza do swojego zamiaru. *Journal des Debats* opowiada w téj mierze następujący wypadek: Pewien handlarz podróżujący donosi nam, że w samotném pustkowiu na francuzko-szwajcarskiéj granicy widział unoszący się w powietrzu ogromny balon, w którym przemytnicy zagraniczne towary, a mianowicie igły i szpilki do Francyi przekradają. Balon ten odbył już szczęśliwie dwie podróże, przezco właściciel jego znacznie na tém zarobił. Skoro wiatr jest pomyślny, ładuje przemytnik towar na czółenko balonu, puszcza go w górę i kieruje nim mocnym ale cienkim sznurkiem na przeznaczone miejsce; dzieje się to powiększéj części śród ciemnéj nocy. Wynalazek ten dający się doprowadzić jeszcze do większej doskonałości, utrudnia bardzo służbę przy cle.«

Pamiętnik panny Rachel. Dziennik *Charivari*, który od dawna zwykł przedrwiwać z słynnych osób wszelkiéj klasy, nie przepomniał także o pannie Rachel po świetném jéj wystąpieniu w Londynie, i zawiera w ostatnim swym numerze następujący pamiętnik téj sławnéj artystki od czasu jéj pobytu w téj angielskiéj stolicy. »Londyn dnia 6. maja 1841. Dziś przybyłam do Londynu; trzymasztowy statek wysadził mnie na wybrzeże; milczeniem okazała mi ludność swe uszanowanie. Londyn jest miasto, które ustawicznie dymi. Mój papa Felix nie może tego pójąć, jak śród tak wielkiego dymu tak wiele złota znajdować się może. Piérwsze moje wrażenia piszę na wachlarzu, który od mojéj protektorki pani N. w podarku otrzymałam; jego kość słoniowa będzie powiernicą mojego serca. Chronię się do mojego hotelu, dla uchylenia się od natłoku ludu. — Dnia 7. maja. Odwidzałam lorda P., dla doręczenia mu listu od lorda G. Byłam namiętną jak Hermiona, a tkliwą jak Monima. Pod wieczór w *parliament house, bouquet* lorda miał posępną barwę. — Dnia 8. maja. Laska, lorynetka i krawat wchodzą do mego pokoju; odźwierny oznajmia hrabiego d'Orsay. Ten mi się przypatruje, kłania i mówi: »Jestem *lion*, mianuję panią *lionne*, podaj mi swoję rękę *my dear*.« Rzeczą naturalną, że mnie ściska. Hrabia d'Orsay jest *lion* z srebrnym włosem. Mowią, że służył jeszcze za czasów królowéj Anny. Ofiaruje się być moim *Kornakiem* w Londynie, przyjmuję to oświadczenie. Co téż na to w *Theâtre-français* powiedzą? A, ba! odłóżmy te ważne rzeczy na jutro. — Dnia 9. maja. Zawsze toż samo natręctwo; tłumy snują się nieustannie po przed moje okna. W *regentspark* byłam otoczona ludźmi, którzy udawali, że się przechadzają. Lubię tę delikatność, dziwi mnie ona u ludu, który piwem się żywi. — Dnia 10go maja. Przynieśli mi list od mego *Co-lion* d'Orsay'a. Jestto okólnik do *faschionów* trzech królestw. Umieszczam tu całą jego osnowę. »*My dear*, na teraz nie ma między Dover a Edynburgiem ani wyścigów konnych, ani potyczek kogucich, ani pojedynków na pięstuki. Mis Rachel będzie naszym koniem, kogutem i boxerką. Przybywajcie i okrywajcie ją oklaskami. Niech żyje Rachel, *for evert!*« Jakże ja lubię tą galiko-brytańską wymowę. — Dnia 11. maja. Dziś był u mnie lord M., i zapewniał, że pewien angielski poeta, którego nazwisko wymawia się jak słowo *j'expire* (umiéram), przepowiedział moje przybycie. Muszę temu poecie złożyć moje podziękowanie. Dziś w wieczór wystąpię po raz piérwszy. — Dnia 12go maja. Grałam *Hermijonę*. Teatr *Queen* drżał w swoich węgłach. Co za tryjumf! Wielki Boże! Papa Felix nie mógł znaleźć miejsca dla swojéj radości! Pan Francisque jest bardzo brzydki, ale też i gra jego nie jest najlepsza. Królowa raczyła zaszczycić mnie oklaskiem. Zemdlałam między kwiatami. — Dnia 13. maja. Jutro wyjdzie dziennik *Sun* złotym drukiem. Zapowiedziano, że gazeta *Times* na przyszłość pod nazwą: *Rachels-Gazette* wychodzić będzie. — Dnia 14go maja. Jestem na *Almak-balu*; widać tu tylko sam kwiat arystokracyi angielskiéj. Trzech parów złożyło *coure* u nóg moich. W tém strasznem niebezpieczeństwie przybrałam gniew Roxolany i nie przyjęłam tylko szklankę limonijady i naramiennik dyjamentowy; papa Felix rzekł: »Rachelo, Rachelo! Jestem kontent z ciebie.« — Dnia 15. maja. Grałam *Horacyjuszów*. Kamila wzruszyła do łez Wiktoryję. Odemnie tylko zawisło zostać księżną Cambridge albo Sussex. Francisque jest jeszcze brzydszy, a gra jego jeszcze gorsza — młody ten aktor jest przyjacielem postępu! Cała izba niższa była na przedstawieniu. — Dnia 16go maja. Odwidzały mnie lady Evening, lady Morning, miss Farevell i milady Godnight. Wszystkie te damy przy odejściu zapomniały swe naszyjniki, zapinki, zégarki, łańcuszki i pierścienie. Papa Felix zbierając to wszystko i chowając mówił sam do siebie: »A to widzę bardzo dobrze idzie. Co za dobry papa!« — Dnia 17go. Słychać, że panna Cerrito przybędzie. Biedna, czegóż ona chce w Londynie? Trajedyja ubije balet. — Dnia 18. maja. We Francyi sądzą, że się Anglija ustawami zbożowémi i dymissyją gabinetu zajmuje: Anglija o tem ani myśli; jato jestem, ja, która teraz w trzech królestwach panuję.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.